

Spotkanie autorskie

Gomułka na nartach, Jaruzelski nie pije

Z początku sprawa wydawała się co najmniej podejrzana. Bo oto pojawia się autor, którego imię i nazwisko można by uznać za pseudonim literacki. W dodatku mieszka w USA, lecz w sprawach zakopiańskich orientuje się nad wyraz dobrze. Uznawszy to za mistyfikację i podejrzewając o napisanie książki *Ośrodek Zero. Tajemnica Doliny Syrokiej Wody* jakiegoś zakopiańczyka, któremu stanowisko nie pozwala na literackie harce lub takiego, który pod własnym nazwiskiem sukcesu odnieść nie zdołał (miałam nawet kandydata) postanowiłam przeprowadzić śledztwo. Udałam się więc do siedziby TPN (autor pisze, że kiedyś był pracownikiem tej instytucji), do Dobrze Poinformowanej Osoby, i dowiedziałam się, że Romuald Roman, który popełnił tę książkę, jest jak najbardziej prawdziwy, a wkrótce poznałam go osobiście. Ale czy w takim razie wydarzenia, które opisuje w swojej powieści to prawda czy fikcja?

Romuald Roman, pracując w latach siedemdziesiątych w Tatrzańskim Parku Narodowym, wiele razy widział

szlaban zamykający wejście do tajemniczej doliny, o której istnieniu nie wiedzieli nawet tacy znawcy Tatr, jak

Witold Henryk Paryski czy Włodzimierz Cywiński. Tajemnicą poliszynela było, iż znajduje się tam ośrodek wypoczynkowy dla partyjnych kacyków. Pan Roman wkrótce przenosi się na stałe do Stanów, a gdy bawi w egzotycznym kraju na wakacjach, poznaje prowadzącego hacjendę i restaurację Polaka, który, jak się okazuje, był przez lata kierownikiem tej tajemniczej, zagubionej w górach placówki. Gdy umiera, rodzina przekazuje jego zapiski przyszłemu autorowi *Ośrodka Zero*...

Powieść to nieco szkatułkowa, czyli baba w babie, ponieważ zawiera, poza wstępem autora, obszerne fragmenty dziennika pana Zdzisława. Czytamy więc o wizytach w Tatrach partyjnych bonzów z kraju i zagranicy, ukrytych sprytnie pod pseudonimami, które rozszyfrować będą potrafili raczej starsi czytelnicy: generał Bagienny, Syraniewicz, towarzysz Jerzyk czy generał Wronosielski... O perypetiach kierownika, który musiał zaspokajać ich zachcianki, tuszować skandale i za wszelką cenę nie podpaść. Doskonale zresztą radzi on sobie w komunistycznej rzeczywistości, jest cwany, draniem, dobrze znającym reguły gry i potrafiącym się ustawić. Prawda miesza się tu z fikcją – można zabawić się w detektywa i spróbować oddzielić jedno od drugiego. To doskonała satyra na Polskę czasów komuny, napisana z werwą i dowcipnie, zręcznie nad wyraz pomyślana. Młodszy czytelnicy będą się dziwowali, w jakiej to dziwnej rzeczywistości przyszło żyć ich rodzicom, starszym być może łezka zakręci się w oku – z tęsknoty za dawnymi czasami lub z żalu nad nędzą żywota w folwarku, jaki zrobili z Polski partyjniacy w źle skrojonych garniturach.

Beata Słama
(recenzja pojawi się w jesiennym numerze kwartalnika „Tatry”)